

Kto zapłaci za kryzys?

15 kwietnia 2008

Kryzys finansowy i coraz większe zagrożenie kryzysem realnej gospodarki globalnej pogłębia się od ponad pół roku. Początkowo usiłowano bagatelizować skalę niebezpieczeństwa, ale gdy w styczniu br. specjalista od błędnych prognoz Leszek Balcerowicz oświadczył wszem i wobec, że nie widzi żadnego kryzysu („Kryzys? Nie widzę kryzysu”, Dziennik 23.01.2008) nawet najbardziej naiwni optymiści stracili złudzenia. Od kiedy w sierpniu zeszłego roku załamał się amerykański rynek hipoteczny sprawy zaszły już bardzo daleko. Kolejne fale giełdowych spadków w listopadzie, styczniu i marcu uderzyły w największe banki i instytucje finansowe globalnego kapitalizmu. Citigroup, Lehman, UBS, Merrill Lynch a nawet szacowny Dresdner Bank musiały spisać na straty dziesiątki miliardów dolarów. Ogół strat poniesionych w sektorze finansowym nie jest jeszcze znany, ale niektóre szacunki (prognoza Goldman Sachs) przewidują, że może to być nawet 1,2 biliona dolarów. Wielbiciele wirtualnego pieniądza i równie wirtualnej gospodarki uciekają do dawno już zapomnianej rzeczywistości i inwestują w... zboże, ropę naftową, złoto. Sytuację powszechnie porównuje się do Wielkiego Kryzysu z 1929 r., który dotąd cieszył się wątpliwą sławą najgorszego krachu w dziejach kapitalizmu. Dlaczego obecne wydarzenia są tak groźne, a procesy uruchomione pęknięciem bańki hipotecznej tak trudne do opanowania? Dlatego, że przyczyny kryzysu narastały długo i nie mają charakteru li tylko koniunkturalnego, ale strukturalny.

Od prawie trzech dekad deregulacja rynków finansowych pozostaje lokomotywą gigantycznych zysków największych giełdowych graczy w rodzaju funduszy hedgingowych czy private equity's poszukujących coraz to nowych rynków oraz instrumentów zwiększania korzyści w jak najkrótszym czasie. Jednocześnie jednak ta bezprecedensowa w dotychczasowej

historii gospodarczej świata hipertrofia finansowa karmi się postępującą degradacją kondycji ekonomicznej pracowników, a na globalnym Południu nawet całych narodów. Pracownicy codziennie ponoszą koszty giełdowych wzrostów, ich płace, prawa pracownicze i usługi publiczne, z których korzystają są przecież głównym przedmiotem cięć, których domagają się akcjonariusze wyczekujący ciągłego wzrostu rentowności, czyli własnych dywidend. Ta permanentna punkcja przeprowadzana na dochodach pracowniczych narasta w chwilach krachów, gdy bańki wielkich spekulacji pękają z hukiem pod ciężarem własnej logiki zysku za wszelką cenę.

Zjawisko kryzysu finansowego, a za nim gospodarczego, które w złotym trzdziestoleciu powojennego kapitalizmu (1945-1975) wydawało się wyeliminowane powraca obecnie pociągając za sobą miliony ofiar – wepchniętych w nędzę, pozbawionych pracy, wyzutych ze środków utrzymania i poczucia bezpieczeństwa. Tak było w Meksyku w 1994 r., Azji i Rosji 1997-8 r., Argentynie 2001 r. Mniej niszczycielskie, ale nie mniej negatywne skutki pociągnęły za sobą krachy w 1987 r., 1990 r., 1994 i 2000-2002 r. Tak może być dziś gdy świat stoi w obliczu kryzysu finansowego i recesji w USA oraz konsekwencji, jakie może to przynieść w Chinach, Azji Wschodniej i Europie, czyli w gospodarkach finansujących ogromne amerykańskie deficyty i w tym sensie uzależnionych od sytuacji ekonomicznej USA.

Zwykli obywatele, którzy stracą nadzieje na własny dom, wieloletnie oszczędności czy część przyszłych emerytur będą musieli zacisnąć pasa. W odpowiedzi na pytanie jak przeciwstawić się kryzysowi eksperci domagają się tego co zawsze – cięć w wydatkach socjalnych i obniżek podatków dla najbogatszych. Ponoszenie kosztów kryzysu nie grozi natomiast różnym giełdowym funduszom i korporacjom.

Finansowe giganty zawsze zostają wynagrodzone. W czasach wzrostów korzystają z politycznego wsparcia państw liberalizujących przepływy finansowe, prywatyzujących usługi publiczne i systemy ubezpieczeniowe, destabilizujących

stosunki pracy, i w ten sposób kierujących na giełdy stały strumień pieniędzy zwykłych obywateli. W czasach perturbacji otwierają się przed nimi publiczne budżety państw spieszących przywracać stabilność na rynkach, czyli mówiąc wprost – chronić największych prywatnych spekulantów przed skutkami ich własnych ekscesów.

Zgodnie z tą logiką w styczniu br. amerykański system finansowy został zasilony sumą kilkudziesięciu mld dolarów pochodzących w dużej części z publicznych banków naftowych emiratów znad Zatoki Perskiej. Z kolei w marcu amerykański Federalny Bank Rezerwy (Fed) obiecał wpompować do kieszeni prywatnych inwestorów zawrotną sumę 200 mld dolarów. Europejski Bank Centralny woli dmuchać na zimne – w przewidywaniu nadejścia finansowego tsunami zza oceanu chce zasilić system finansowy starego kontynentu 50 mld dolarów.

Rzecz jasna pryncypialni neoliberałowie, którym doskwiera darmowa edukacja, służba zdrowia i wzrost płac nie widzą nic złego w tym drenowaniu publicznych budżetów dla ratowania prywatnych biznesów finansjery. Czy można się dziwić, że w takiej sytuacji tylko w styczniu banki w USA wypłaciły swym urzędnikom 38 mld dolarów premii (był wśród nich Bear Stearns, który upadł dwa miesiące później)? Prywatyzacja zysków i uspołecznianie kosztów nigdy nie były tak ostentacyjne jak obecnie.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [„La Monde diplomatique” nr 4 \(26\) 2008](#)